

Adam Gomola KS Kandahar
Bartek Golec KS Kandahar

NARCIARSKI TRAWERS ALP 6.03-8.04

TRAWERS ALP 2018

Adam Gomola, Bartłomiej Golec, Stanisław Kruczek (support)



Wyruszyliśmy z Rybnika 5 marca w kierunku Wiednia. Wieczorem dotarliśmy w okolice Glognitz, skąd mieliśmy wystartować. Następnego dnia zapięliśmy narty i ruszyliśmy na podbój Alp. Zajęło nam to w sumie 34 dni. Nie był to jednak spacer. Codziennie pokonywaliśmy średnio 50 km i 2000-2500 metrów przewyższenia. Pogoda była zmienna i w bardzo wielu sytuacjach tylko dzięki GPS-owi odnajdywaliśmy właściwą drogę. W zasadzie cały czas mieliśmy dostawy świeżego śniegu co zmuszało nas do ciągłego torowania. Praktycznie w ogóle nie spotykaliśmy skiturowców na naszej drodze. Dopiero w Szwajcarii i Francji mieliśmy szansę korzystać ze śladów poprzedników. Niezastąpione okazały się rowery, ponieważ wszystkie odcinki bezśnieżne mogliśmy pokonywać dużo szybciej i sprawniej. Poza tym w momentach załamania pogody mogliśmy dzięki rowerom wybrać inny bezpieczniejszy wariant przenosząc się do innej doliny a nie czekać bez końca na ustabilizowanie warunków pogodowo-śniegowych.

Każdy dzień był nowym wyzwaniem. Już pierwszego dnia mocno żeśmy się zestresowali. W okolicach najwyższego szczytu Heukupe (2007m) pogoda się zepsuła, że zjazd był możliwy tylko dzięki GPS-owi. Teren był jednak tak eksponowany, że co jakiś czas natrafialiśmy na kilkudziesięciometrowe skały i żleby prowadzące do nikąd. Po kilku próbach w kompletnej mgle wreszcie natrafiliśmy na chodnik zaznaczony na GPS i nim udało się nam dostać na dół. Kolejne dni były całkiem przyjemne chociaż pogoda nie była najlepsza.

Na granicy Wysokich Taurów dojechali do nas Adam z Alkiem i przez parę dni towarzyszyli nam w walce o każdy nowo wytorowany metr. W pierwotnych planach mieliśmy wejście na Glossglockner, ale jak już zaczęliśmy się do niego zbliżać pogoda była coraz gorsza. Kiedy dotarliśmy do miejscowości Kals u jego stóp załamała się kompletnie. Dokonaliśmy więc korekty trasy i wybraliśmy zupełnie inny wariant. Wierzyliśmy, że jak przejdziemy przez przełęcz Klammljoch do „słonecznej Italii” to pogoda będzie super. Niestety nasze przewidywania nie sprawdziły się. Było jeszcze gorzej. Na dobrą pogodę musieliśmy poczekać kilka dni. Pierwszy ładny słoneczny dzień przywitał nas pod Hohe Wilde(3480 m). Błękit nieba i siła słońca tego dnia był wprost proporcjonalny do naszej walki o wejście na przełęcz Eisjochl. Podjęliśmy trzy próby i dopiero ta ostatnia, gdzie na zakosach ze względu na stromiznę zamiast kijków używaliśmy dłoni zakończyła się sukcesem.



Po zjeździe z Eisjochl

Kolejnym stresującym momentem było przejście z Livigno przez przełęcz La Stretta (2476 m) do Szwajcarii. Mieliśmy tylko przeskoczyć przez małą niepozorną przełęczkę a że poprzedniego dnia śnieg był bardzo miękki, to nawet nie zabraliśmy raków. Niespodziewanie tuż przed nami stała betonowa ściana. Na nartach na tym stromym betonie się już nie dało, a na butach mieliśmy problem wbić się na 2 cm. Był to niezły horror jak na początek pięknego dnia w rejonie Berniny.

W Alpach Leopontyńskich zjeżdżaliśmy cały czas po lawiniskach i przewieszonych lasach w bardzo wąskich i głębokich dolinach, gdzie zadomowiła się już wiosna. Różnice wzniesień sięgały tam 2000 metrów co powodowało, że nawet jedno podejście było w stanie nas zmęczyć. Ale prawdziwe wyzwania były dopiero przed nami.

W Alpach Walijskich podczas podejścia z Gondo na Zwischenbergenpass(3268m) w pewnym momencie, na niezbyt stromym stoku, coś pod nami strzeło. Przez głowę przeleciała mi myśl "już po nas". Na szczęście śnieg nie ruszył. Kilkadziesiąt metrów wyżej przekroczyliśmy wąską, ale ciągnącą się w nieskończoność szczelinę, która powstała w wyniku tego tąpnięcia. Tego samego dnia przeżyliśmy jeszcze jedno takie tąpnięcie, na szczęście też bez konsekwencji. Nazajutrz mieliśmy zaplanowane przejście z Saas Fee do Zermatt. Po nocnym opadzie i gwałtownym ociepleniu lawiny spadały wszędzie. Rano zamknięto nawet cały ośrodek narciarski w Saas Fee i zasugerowano nam by raczej nie wychodzić w góry. Przed południem gdy pogoda się poprawiła i za pomocą materiałów wybuchowych zarządcy ośrodka zrzucili już prawie wszystkie lawiny, podjęliśmy drugą próbę przejścia do Zermatt. Na początku wszystko szło dobrze, ale wraz ze zbliżaniem się do przełęczy Adlerpass(3789m) pogoda zaczęła się pogarszać. Na przełęcz dotarliśmy w huraganowym wietrze i przy zerowej widoczności. Zjazd w kierunku Zermatt wydawał się drogą do nikąd po zlodzonym i stromym stoku. Na szczęście niżej było już całkiem dobrze i ostatecznie cały etap zakończyliśmy w Zermatt z uśmiechem na twarzy. Prawdziwe piekło miało nas czekać następnego dnia. Po analizie prognozy pogody wiedzieliśmy, że dobra pogoda ma się utrzymać do godziny 12 – tej. Znając nasze tempo poruszania się zdawaliśmy sobie sprawę, że do południa powinniśmy już wyjść na Tete Blanche. Wydawało się, że mamy wszystko pod kontrolą. Ale kiedy wystartowaliśmy z Zermatt zaobserwowaliśmy pierwsze niepokojące symptomy: silny wiatr i zasłonięty chmurami Matterhorn. Przyspieszyliśmy więc na tyle mocno, że nawet zaczęliśmy mijać miejscowych, mocnych zawodników na lekkim sprzęcie. Szybkie tempo jednak nie wystarczyło. Pogoda załamała się już o 10.30 i znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji. Wiatr momentami był huraganowy a widoczność zerowa. Nie mogliśmy odnaleźć właściwej drogi. W pewnym momencie na Tete Blanche natknęliśmy się na samotnego Szwajcara, który był totalnie zdezorientowany, mimo że był tam siódmy raz. Przywiązaliśmy go do naszej liny i wspólnie rozpoczęliśmy walkę o przeżycie. Dzięki Bogu udało nam się szczęśliwie dotrzeć do Arolli. Szwajcar pierwotnie chciał zostać w schronisku Cabana de Bertol, ale kiedy tam doszliśmy postanowił zjeżdżać z nami na dół.



W trakcie zejścia z Tete Blanche w towarzystwie przypadkowo spotkanego Szwajcara

Po nocnych opadach śniegu nie mieliśmy żadnych szans na przejście z Arolli do Verbier. Na szczęście w Szwajcarii jest dużo ośrodków narciarskich i właśnie po trasach jednego z nich udało się nam dostać z Sivez do Verbier. Byliśmy już tylko jeden dzień drogi od Courmayeur, a warunki śniegowo-pogodowe nie dawały nam zbyt wielkich szans na wejście na Mont Blanc. Był 3 stopień zagrożenia lawinowego, z tendencją rosnącą. W tym dniu w lawinie w Chamonix zginął lekarz Elizabeth Revol, Emanuel Cauchy i nie mieliśmy ochoty na podejmowanie zbędnego ryzyka.

Po przejściu do Francji jeszcze dwa dni walczyliśmy z beznadziejną pogodą. Później wyszło słońce i już do końca mogliśmy się cieszyć słonecznymi dniami bez większych problemów w górach.



W słonecznej Francji

7 kwietnia 2018 doszliśmy do St.Etienne de Tinee i w tym miejscu zakończyliśmy nasz górski Trawers Alp. Następnego dnia, już na rowerach pokonując 90 km dotarliśmy do Nicei.



Na plaży w Nicei

Cały trawers był dla mnie ogromnym obciążeniem psychicznym i fizycznym. Większość etapów to była wyprawą w nieznane. Mieliśmy kilka sytuacji mrożących krew w żyłach ale z pomocą Bożą wychodziliśmy z nich bez szwanku. W sumie pokonaliśmy 1690 km i 71500 metrów przewyższenia.

Pragniemy podziękować za wsparcie wyprawy: Polskiemu Związkowi Alpinizmu i Ministerstwu Sportu i Turystyki.